PRZEGLĄD LEŚNY

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM LEŚNICTWA, HANDLU I PRZEMYSŁU DRZEWNEGO ORAZ ŁOWIECTWA.

Warszawa, dnia 15 grudnia 1921 roku.

Z okazji nadchodzących świąt przesyłamy wszystkim prenumeratorom, czytelnikom i przyjaciołom naszego pisma serdeczne życzenia. *Redakcja.*

BORY POLSKIE.

Mihi placent ante omnia silvae.
Virgilius,

Bory polskie... Rozłożone, jak ciemno-zielone plamy po całym olbrzymim obszarze Rzeczypospolitej — poszarpane przez szereg wieków siekierą ludzką, spychane przez kulturę rolniczą na piachy, bagna i moczary, złupione przez niemców, niszczone przez chciwość ludzką i coraz więcej z zachodu na wschód biegnące — tam w niewielkich połaciach, a ówdzie na wschodzie przytulone do brzegów rzek błotnistych, do niezmierzonych bagien Pińszczyzny, wiecznie szumiące i zawodzące tęskny swój, a pełny nieuchwytnego czaru rozhoworu — pieśń lasu.

Pieśń ta zrozumiała dawniej dla ojców naszych, kiedy bliżej natury żyli i mowę jej rozumieli; teraz tylko dla niewielu jest dostępną — dla tych, co żyją życiem lasu, życiem natury, co znają las i jego tajemnicze uroki.

I kiedy w wysrebrzoną przez poświatą księżycową cichą, spokojną noc myśl mieszkańca boru leśnika, tego obrońcy lasów polskich, wzniesie się na niewidzialnych niciach wspomnień i rozmyślań, kiedy umysł jego swobodny na chwilę od codziennych trosk i zabiegów, zamgli się dumą przeszłości i spogląda z troską w nieznaną mgłę przyszłości, wtedy odżywać w duszy jego poczynają schowane jako spuścizna gdzieś głęboko, głęboko tęsknoty, tajemne echa dawnych wspomnień, prawem natury, po ojcach, gdzieś w głębi serca zaklęte.

Snują się przed oczyma duszy dawne czasy, dawni ludzie — widzi się jak w bajce czarodziejskiej całe barwne obrazy przeszłości, słyszy się nieomal szelest skrzydeł przechodzącej mimo historji i poszum tajemny ciemnych naszych borów polskich za czasów piastowych.

I w taką to noc kiedy w głąb swej, duszy spojrzemy, dzieją się cuda i czary, jak w onych bajkach, co je stary Sabała w noc przy ognisku na wirchach tatrzańskich opowiadał.

Na wirchach tatrzańskich! — tak! widzimy się tam oczyma duszy na szczytach gór w dawne, dawne, siwe ze starości czasy.

Jak okiem sięgnąć szumią u podnóża gór bory, ciemne głębokie, lśniące różnemi odcieniami zieleni, dyszące oparem dolin i strumieni. Gdzieniegdzie wązki srebrzysty wąż rzeki lśni się jak pas rycerski, lany z olkuskiego srebra.

Spojrzysz okiem na wschód, czy zachód lub pólnoc, wszędzie niezmierna przestrzeń leśna, glucha, ciemna, tajemnicza. Tylko tam na północy prosto, jak sierpem rzucił na jasnej szerszej przestrzeni bezleśnej, oblanej światłem słonecznem, widzi się jakieś wieże, złote krzyże domy, rozsiadłe nad szeroką wstęgą Wisły. To Kraków — gród warowny Biało-Chrobatów. Po nad Wisłą ku północnemu wschodowi, hen aż ku miejscu, gdzie „San domierza" do Wisly widnieje się bezleśna przestrzeń, usiana osiedlami plemienia piastowego. Wygląda to, jak zielony szmaragd podłużnej formy, oprawny w ciemny poszyt lasów. Bo już wnet po obu stronach Wisły ciągną się znów niezmierzone puszcze ciemne, przez ziemie Mazowsza, Kurpiów, Podlasia i tam zlewają się z całym niezmierzonym oceanem leśnym Litwy i Rusi.

I tylko na zachodzie w dorzeczach Warty — lewej strony Wisły na południe od Noteci i Brdy, rozciąga się szmat wolnej ziemi, która już osiadłe plemie Polan, poczyna uprawiać, jako rolę.

Szeroką jasną plamą wśród lasów ciągną się rozległe „polska" (pola), jak je w owe czasy nazywano i której to nazwie Polska swe imię zawdzięcza, jako że w tych stronach wielkopolskich nad Goplem narodziły się pierwociny państwowości polskiej

A potem już na pólnoc, aż po same sine fale Bałtyku bór — bór gęsty pierwotny, dziki, tajemniczy....

A w borze tym panuje niezmierna rozmaitość gatunków i rodzai drzew leśnych. Więc począwszy od kosodrzewiny na skalistych wysokich zboczach karpackich, aż do cienistych dąbrów na żyznych równinach sandomierskich i kujawskich.

Więc wysmykły, strzelisty smerek z dostojną wspaniałą jodłą, co jak kolumna dorycka biegnie w górę i zda się swym wierzchołkiem podpierać niebios sklepienie. Więc modrzewie, władcy podkarpackich i małopolskich ziem, co swe panowanie rozpościerały wtedy, aż po piaski Mazowsza i niziny Kurpiowskie, rozwinięte i wspaniałe jasną swą zielonością, rozweselające ciemny ton boru — więc buki rozrosłe i żylaste, dęby mocarne i krzepkie, i królewskie cisy z majestatem pokoju i ciszy. A dalej ku pólnocy niezmierzone obszary dziedzictwa sosny, tego poczciwego polskiego drzewa, co do tej pory stanowi główne tło naszych lasów. A potem pośledniejsze bractwo leśne jak brzozy, graby, wiązy, klony, jesiony i dziesiątki innych drzew, które ongiś żyjąc pelnem życiem, większemi też cieszyły się rozmiarami — między innemi i biedne obecne jałowce, które w epoce piastowskiej rosły jako drzewa o kształcie cyprysu[1]).

A pod sklepieniem i ochroną wielkich władców boru rosła mnoga obfitość drobnych krzewów i półkrzewów, czerpiąca soki z rozkładających się części leśnych kolosów. Więc rośliny z jagodami leśnemi różnych rodzai, służącymi za pożywienie

[1]) Jałowiec dochodził wówczas do wysokości 5—6 metrów. Jeszcze i teraz w Myszynieckiej puszczy na Kurpiach trafiają się jałowce o pięknym cyprysowatym wyglądzie dochodzące 3—4 metrów wysokości.

zwierzętom roślinożernym, więc olbrzymie paprocie, wyżej wzrostu człowieka, zawdzięczające swą wybujałość niezmiernemu bogactwu dziewiczej gleby leśnej. I cudne storczyki, roztaczające oszałamiającą woń dokoła, a tak duże, jak terazniejsze kwiaty agawy. I na polanach leśnych dziewanny wielkokwiatowe z pękami dużemi, jak pięść dziecka. A wszystko silnie wybujałe, soczyste, żyjącem pełnem życiem rodzimego boru.

A wśród boru wszelaki zwierz leśny, drapieżny, a groźny, co chowa się w nim jak w morzu. I jak w morzu też pełno jest w borze niezgłębionych tajemnic, dziwów, zaklętych w piękne wierzenia i starolechickie legendy.

Więc pełne są bory czarów i dziwów, boginek i wodnic, dobrych i złych duchów, istot złośliwych i figlarnych, co to wędrowca na manowce prowadzą, lub zgoła go gubią w niezliczonych oparzeliskach leśnych, a jeśli jest silny i śmiały, to trwogi mu napędzają chichotem djabelskim, hukaniem tak przeraźliwem, że aż krew w żyłach się ścina lub też śmiechem, albo płaczem, czy kwileniem małego dziecięcia.

Tak się temi czasy dziewiczość boru broniła od niespokojnej natury człowieka, gotowego w każde miejsce wejść ciekawie i dymem swych osiedli naruszyć spokój odwiecznych ostępów.

Nieliczne były szlaki leśne, któremi podróżowano przez nieprzebyte' puszcze polskie za czasów pierwszych książąt z rodu Piastów; szedł duży gościniec z Krakowa na Śląsk do Wrocławia — ztamtąd do Gniezna na północno-wschód do Sandomierza i ku Mazowszu.

A w borach królowały zwierzęta dzikie niebywałej wielkości i siły, z tych wiele gatunków już dzisiaj nieistniejących Więc przesmykami i polanami leśnem przemykały się władcy puszczy tury i żubry, wielkie zwierzęta roślinożerne, ulubieńcy łowów królewskich.

Na złowrogi łoskot pędzących żubrów umykały z drogi pomniejsi mieszkańcy puszczy, i nawet niedźwiedź nie rad im był pola dotrzymywać.

Tylko chytry, a kwiożerczy ryś lubiał często niewidzialny przyczaić się gdzieś na konarach drzewa i jak piorun spaść na kark pędzącego żubra, szarpiąc mu kark silnemi pazury i rwąc zębami mięso i żyły, a żubr oszalały z trwogi i bolu, z zalanemi krwią oczami, broczący posoką pędził jak grot z łuku puszczony, aż padał na kolana, żygał krwią, którą napastnik chłeptał gorliwie — i mocarz puszczy ginął z krwi upływu. Ale biada napastnikowi jeśli go żubr potężnem strząśnięciem zrzucił na ziemię — krwiożerczy rabuś natychmiast ginął od potężnych razów racic i rogów rozjuszonego żubra lub tura.

Ale i również krwiożerczy, choć jeszcze więcej drapieżny rosomak*) narówni z rysiem, wilkiem, żbikiem, należał do strasznych wrogów roślinożernych mieszkańców puszczy.

Tych ostatnich było jednak takie mnóstwo, że i dla drapieżników wystarczało i człowiek zapuszczający się w puszczę czynił zwykle wielkie zapasy, szczególnie przed wyprawami wojennemi, kiedy urządzano wielkie łowy i solono mięso na całe miesiące dla licznej czeredy wojennej.

Taką była puszcza za czasów pierwszych Piastów, kiedy $^{19}/_{20}$ Polski, pokryte było nieprzebytemi borami.

Ale już zmienia się ten obraz, kiedy spojrzymy nań za czasów Kazimierza króla, co go to królem chłopków przezwano.

---

*) Dziś już nieistniejący.

Więc koło licznych grodów „murowanej" Polski Kazimierzowej widzimy obszerne uprawne przestrzenie — rolnictwo, właściwe, a umiłowane zajęcie polskiego kmiecia, doszło do znacznych rozmiarów, w wielu miejscach stare odwieczne bory ustąpiły miejsca uprawnym polom — „polska" rozszerzyły się — i Polska też wzrosła. Bory zeszły do $^{7}/_{10}$ ogólnej przestrzeni. Za tego też króla rozpoczął się pierwszy, notowany przez kroniki spław drzewa polskiego Wisłą do Gdańska, gdzie już dawniej dłoń niemiecka, jakoby niosąca kulturę, w znacznej części brzeg Bałtyku z lasu oczyściła. Więc przez Gdańsk szło polskie drzewo do nadbrzeżnych niemieckich portów: Bremy i Lubeki.

Ale były to bardzo nikłe zaczątki handlu drzewnego. Całe miesiące tratwy z Mazowsza płynęły do ujścia Wisły.

Z Kurpiowskich lasów za to do Prus szedł węgiel, potas i dziegieć: wożono to wozami, a w czasach krzyżackich i ostrożnie bardzo, bo nierzadko krzyżak napadał na powracających i złupił to co za potas i dziegieć w pruskich miastach otrzymano.

A potem za Jagiellonów siłą naturalnego biegu spraw, kiedy rolnictwo i rozmnożenie się ludności sprawiło, że coraz to większą przestrzeń ziemi należało uprawiać, począł bór polski ustępować i cofać się i kurczyć — aż w ostatnich czasach Rzeczypospolitej w znacznej mierze ustąpił na wschodnie połacie Polski, i tam oparty o błota i moczary poleskie dotrwał do czasów ostatnich.

Smutne resztki wspaniałych majestatycznych borów polskich! A smutne tembardziej, że pozbawione całego uroku pół dzikiego stanu, że ciche i milczące bez głośnego rozhoworu, ożywiających was niegdyś dzikich boru mieszkańców. Tur, żubr, rosomak — zaginęły. Niedźwiedzie — liczone sztuki na północno-wschodnich krańcach Rzeczypospolitej, — łoś schował się w niewielkiej liczbie w dzikie mokradła pińskie, — bobry przed chałasem ludzkiej kultury usunęły się już w ostatnie swe schronienie i czekają zagłady.

A nawet niejeden myśliwy i tępionych, prześladowanych wilków już żałuje, gdy ich teraz nie stało, lub w bardzo prędkim czasie nie stanie.

Więc giną wciąż lasy i giną ich mieszkańcy — i to czem się szczyci dzisiejsze ludzkie pokolenie: kultura, wynalazki, wygody życia, przemysł, fabryki, handel, lokomocja — wszystko to cośmy przywykli uważać i nazywamy dobytkiem kultury, to wszystko czem szczyci się wiedza i rozum ludzki niesie z sobą zarodki zagłady dla tych stron ludzkiego bytowania, co ma najściślejszy związek z naturą i zbliża nas do natury. Wykwit cywilizacji nowoczesnej. jak bezwzględny zdobywca poczyna sięgać do tego, co się nam z dawnych naszych ukochań zostało — pragnie nam odebrać całą poezję, cały czar życia i przyznajmy się że potroszę już je nam odbiera.

Więc kto jeszcze kocha naturę, czyje serce żywiej bije, gdy w rodzinnym borze owioną go tajemnicze, a tak żałosne odgłosy leśne, szepczące o dawnej borów polskich potędze, kto odczuć z naszej braci leśnej potrafi, nie już materjalne znaczenie, ale i moralną wartość lasów, jako wiecznie żywych świątyń natury i wiecznego źródła najlepszych przejawach [redacted] drgnień duszy ludzkiej, ten pewno zrozumie i odczuje wszystkie refleksje o borach polskich, jakie się leśnikowi w chwili samotnych rozważań nasunęły.

I niechaj brać leśna, w noc wigilijną prześni i przeduma tą borów naszych legendę — ich świetność i potęgę i ich stan w dobie dzisiejszej — ale nie dlatego, żeby powiedzieć słowo: „morituri“.

Nie!!!

Ale dlatego, aby wzmocniwszy swe do ojczystych borów umiłowanie, tem goręcej nad przyszłością i rozwojem leśnictwa polskiego i lasów polskich pracować.

Bo zawód leśny prócz pracy, dać nam może zawsze szereg niezapomnianych nigdy wrażeń z bezpośrednich rozmów z naturą, a jak dla mnie tak piękną chwilę, kiedy zagłębiwszy się oczyma duszy w przeszłość — ujrzałem całe niewypowiedzialne piękno i urok dawnych borów polskich — hen dawno za czasów piastowskich.

Tadeusz Łuczycki.

MANJA SOWIETÓW[1]).

Świetny publicysta, Adam Grzymała Siedlecki, przed kilkoma tygodniami w jednym z dzienników stołecznych napisał artykuł pod tytułem: „Sowiet medyczny“, gdzie poddaje rozważaniom i subtelnej krytyce, projekt statutu izby lekarskie; jaki został wniesiony do sejmu. Charakteryzując poszczególne punkty projektu, stwierdza autor artykułu, że na pewnych objawach naszego życia społecznego położyła fatalne piętno, przyniesiona ze wschodu manja zawiązywania różnych związków zawodowych czyli sui generis sowietów.

Sowiety te starają się podporządkować sobie wszelki indywidualny objaw naszego życia społecznego i uważają, że tylko w nich dany odłam twórczości czy pracy ludzkiej egzystować może.

I tak w omawianym projekcie izby lekarskiej — lekarz choćby skończył najchlubniej wydział lekarski i był najzdolniejszym w swej specjalności, nie może być uznany za lekarza praktykującego, póki się nię zapisze do „sowietu“ medycznego, związku czy izby lekarskiej — mniejsza z tem, jak się to będzie nazywało. Przeciwnie ktoś, jeśli nie jest skończonym lekarzem, ale przypuśćmy felczerem, jeśli należy do związku lekarskiego, to według przewidywań projektu będzie miał możność praktykowania i leczenia ludzi.

Jakkolwiek bądź są to kpiny ze zdrowego rozsądku, to jednak zaraza sowietyzmu już tak zdążyła w pewnych sferach zapuścić korzenie, że poczyna się takie rzeczy uważać za naturalne.

Zaraza ta wciska się wszędzie. Związki-sowiety za przykładem Rosji powstały i powstają w każdym fachu. Okazuje się więc, że komunizm sprytnemi sposobami, pod postacią związków wciska się do naszego społeczeństwa.

Zawód leśny jest jednym z tych zawodów, który posiada najlepszy pod względem patrjotyzmu i przywiązania Ojczyzny dobór pracowników i za bardzo nielicznemi wyjątkami jest nieposzlakowanym pod względem czystości sumienia naro-

[1]) Artykuł nadesłany,

dowego i obowiązków patrjotycznych. Propaganda wywrotowa, skierowywana wprost, nigdy nie natrafi na grunt podatny wśród ogółu inteligentnych leśników naszych, tak, jak zresztą nie znalazła ona gruntu u innych inteligentów: prawników, lekarzy, etc. etc. Tak więc jak lekarze, którzy się wypowiedzieli przeciw zakusom sowietów medycznych, tak też i ogół leśników naszych, znajdzie zawsze dość patrjotyzmu i dość mocy, aby nie dać się wciągnąć w tworzenie sowietów leśnych, choćby te przychodziły do niego pod najbardziej niewinną i zamaskowaną postacią.

M. Trzecieski.



ŁOŚ.

OBRAZEK MYŚLIWSKI.

W roku 1902 mieszkałem na Polesiu Wołyńskiem, w zapadłych kątach nad Styrem blisko stacji Rafałówki. Otoczony dokoła błotami i lasami przeżyłem w tej głuszy niejedną chwilę pozostawiającą, żywe wspomnienia myśliwskich wydarzeń.

W połowie sierpnia wspomnianego roku wyjeżdżałem do Krakowa na ślub mojego brata. W Rafałówce zatrzymywał się na szczęście pociąg, kurjerski na który też skwapliwie zdążałem. Tego dnia wagony były przepełnione, zmuszony więc byłem, na tych kilka stacji do Równa, zająć miejsce w restauracyjnym wagonie, gdzie zaledwie zobaczyłem jedno nie zajęte miejsce. Ogarnęło mnie, radosne zdziwienie gdy przy tym samym stole spotkałem mojego kolegę z ławy uniwersyteckiej, Czesława W. z Mińszczyzny. Kilka już lat minęło od ostatniego widzenia się naszego. Najlepszy kolega, znany był ze swoich dziwactw, ogromnej siły i pasji myśliwskiej, nie wątpiłem więc, że albo wraca z wyprawy łowieckiej, albo na taką podąża.

Istotnie, kilka minut serdecznej gawędy, już mnie objaśniły, że wraca z Tybetu, gdzie głównie na niedźwiedzie polował. Podziwiając jego przygody, zrobiłem na końcu uwagę, że u stryja jego w Mińszczyźnie nie brakuje niedźwiedzi, a łosia i wilka i u nas spotka bez wielkiego trudu. Lekceważąco machnął ręką.

— Słuchaj, serce, te stryjowskie niedźwiedzie to nie dla bratanków, dla grubych „figur" zachowane, a u was te łosie, to tylko w opowiadaniach przy kominku egzystują.

Nie było u mnie stałych łosi, ale nie rzadko spotykały się przechodnie, zwłaszcza w czasie ruji. Mieszkałem szczęśliwie nad Styrem, wśród lasów, łączących rozległe knieje Dąbrowickie Platerów z rządowymi i Pińszczyzną. Ambicją więc powodowany chełpliwie odparłem:

— Przyjedź do mnie, a jeden, drugi łoś pewny do strzału!

— Zgoda, serce — przyjadę, lecz słowo, że będę łosia strzelał. To mówiąc, dłoń swoją ogromną do mnie wyciągnął.

— Słowo! rzekłem niefrasobliwie, oddając uścisk za uścisk, w przekonaniu, że nie prędko zobaczę go u siebie,

W Równem rozstałem się z Czesławem, dążąc do Krakowa i wśród weselnych wrażeń zapomniałem prędko o danej obietnicy.

W kilka tygodni po powrocie do domu, zajęty byłem, jak zwykle, gospodarstwem a zwłaszcza sprzętem drugiego pokosu siana, kłopotliwym z powodu ciągłych, choć nie wielkich deszczyków.

Jednego takiego dżdżystego dnia zaraz po obiedzie wyszedłem z moją żoną w pole zobaczyć dopiero co ukończone karczunki łąk, odległe o wiorstę od domu. Mglisty ciepły jesienny dzień podnosił ogromnie melancholijny charakter Polesia. Mieliśmy się już do powrotu, gdy dzwonek pocztowego wózka rozlegać się zaczął w przestrzeni, a coraz silniejsze jego dźwięki wskazywały, że ktoś na pewno do nas podąża. Zadudniały koła na trzech mostach śluzowych jedynej grobli, prowadzącej do dworu i niewyraźnie w przymgleniu drobnego deszczyku, zamajaczyła nam pocztowa bryka skręcająca w opłotki dworskie.

— Pewnie prystaw, albo akcyźnik, pomyślałem melancholijnie. Przyspieszyliśmy kroków, żeby niedługo zatrzymywać nie zawsze miłą wizytę reprezentantów władzy, gdy w połowie drogi spotkaliśmy już służącego Pawełka z nowiną, że to „obcy" gość przyjechał prosto z koleji.

Wizyty takie nie często się zdarzały, więc i poczciwy Pawełek tak był tym wypadkiem zaskoczony, że ani nazwiska, ani nawet wyglądu przybysza dobrze nie pamiętał, z dumą jednak dorzucił: „musi być ochotnik bo dwie strzelby przywiózł„!

— Masz babo placek — Czesław! wykrzyknąłem, wywołując zdumienie mojej żony, której dotąd ani słowem o naszym układzie nie wspomniałem, prawdę mówiąc przez zapomnienie.

O łosiach w lesie, nic mi straż w ostatnim czasie nie donosiła, za tem ich nie było, co tu robić?

Serdeczny śmiech mojej żony zakończył wyjaśnienie, jakie jej robiłem o celu przyjazdu zbyt słownego kolegi.

— Jakoś poradzimy! rzuciła mi żona szeptem w ucho, wchodząc na ganek dworu.

Z faryzeuszowską radością powitałem Czesława, przebierającego się z drogi w gościnnym pokoju, zapowiadając mu z kłamanym entuzjazmem wyprawę nazajutrz do kniei, a rzucając z ukradka wściekłym wzrokiem na dwa skórzane pudła ochraniające jego znakomitą broń.

Odświeżonego po nużącej podróży z Mińska, wprowadziłem Czesława do jadalnego pokoju, gdzie żona moja, rozbawiona moim łosiowym kłopotem, zachowując jednak zupełną dyskrecję, wesoło powitała dawnego znajomego. Rozmowa ożywiona wspomnieniami dawnej znajomości zajęła uwagę gościa, ale myśl moja biegła w zadeszczoną knieję, szukając nieszczęśliwych łosi, wyrzucając sobie zbytnią chełpliwość wdawaniu obietnicy pewnego polowania, gdy w tem z frasobliwego roztargnienia wyrwał mnie głos służącego:

— Proszę pana, Matwij przyszedł z pilnym interesem.

Matwij, znany kłusownik i włóczega leśny, stały towarzysz moich wycieczek myśliwskich, nie wołany — co on może chcieć?

— Niech poczeka!

— Kiedy proszę pana, Matwij mówi, że interes ważny, bo łosie są!

— Łosie!?

Okrzyk ten zawisł na ustach moich, żony mojej i Czesława. lecz z jak różną intonacją.

Podchwyciłem figlarny wyraz żony oczy mojej i błysk nadzieji, której oburącz chwyciłem się, zgasł równocześnie; przypomniał mi się jej szept przy wejściu do domu „jakoś poradzimy", i błyskawicznie rozumować zacząłem, że ratuje położenie niewinną komedją prawdopodobności. Matwij zapowie łosie, pojedziemy w knieję, polowanie odbędzie się — a łosie? — łosie pójdą na nagankę, albo wyjdą nocą, no i obowiązkowi zadość się stanie. Ze spokojną więc niewiarą otworzyłem drzwi do sieni, do których zniecierpliwiony Matwij sam się już dobierał.

— Panoczku, łoś jest na sianokosie?

— Gdzie?

— A ot tu za sadem, gdzie otawę kosim — wskazał ręką przez okno korytarza na ogród.

Już nic nie rozumiałem. Cała misterna koncepcja, o którą żonę moją podejrzywałem, runęła.

Łoś jeden, o tej porze ruji, często bardzo się spotyka w najmniej oczekiwanych miejscach; wędrowny — więc czas jego postoju krótki, lecz czy Matwij prawdę mówi?

— Tyś go widział?

— Jej Bohu panoczku, z gorączkowym podnieceniem zaklinał się Matwij, wyłuszczając dokładnie obecne położenie łosia.

Byłbym go może jeszcze poddawał badaniu z podejrzliwością, zbudzoną od chwili jego niespodziewanego przybycia, gdyby nie głos mojej żony, napominającej do szybkiego działania.

— Mój drogi, nie namyślaj się, łoś nie czeka, wieczór nadchodzi, a ten opatrznościowy gość pomknie w dalszą drogę — za wodę i już go nie dostaniecie Panie Czesławie, pan gotów?

Pytaniem tem delikatnie zrobiła uwagę, że Czesław w wizytowem ubraniu, nie bardzo zdolny przebyć tą drogę po błotnistej łące, na którą nas Matwij zapraszał. I mnie zelektryzowały jej słowa; widocznie łoś jest, to nie komedja — to fakt. W kilku słowach ułożyłem z Matwijen plan kampanji, chwyciłem za strzelbę stale w sieni wiszącą, siarczystym pocałunkiem pożegnałem żonę i z miną jakby wszystko według obmyślanego planu postępowało, pobiegłem do pokoju Czesława. Spotkałem go już gotowego we drzwiach, rozumiał konieczność pośpiechu, widać to było w jego ubiorze. Zaledwie długiemi butami zastąpił pokojowe buciki, nie kwapił się wcale ubrania wizytowego zamienić myśliwskiem, a malowniczego tego stroju nie uzupełnił nawet przykryciem głowy i ze znakomitem sztucerem wielostrzałowym w ręku, wybiegł pierwszy przed dom.

Podwórze gospodarcze z jednej strony domu przytykało do niedużej wioski poleskiej. Z drugiej strony domu w wązkiej wydłużonej figurze, łączyło się z rozległemi łąkami. Łąki te w części dworskie, w części chłopskie, ciągnęły się daleko aż

pod Hinoczę i Stepanhorod, poprzeżynane licznemi rzeczkami, łączącemi mniejsze i większe błota, zarośnięte były kępami łozy i olszyny, występującej gdzieniegdzie na dworskiem w zwartych laskach. Na tych to łąkach częścią co dopiero skoszonych, częścią już stogami siana pokrytych, w odstępie pół wiorsty od ogrodu, rozciągała się właśnie gęsta olszyna nad bagnistą rzeczułką, zalegając długim pasem.

To było wedle słów Matwija miejsce obecnego postoju łosia.

Obchodząc wioskę udaliśmy się na łąki, prowadzeni przez Matwijowego brata Makara i przebrnąwszy zapadającą się pod nogami smugę czystej łąki, weszliśmy na suchy grunt, gdzie między łozą i licznymi stożkami siana, zajęliśmy wskazane przez przewodnika stanowiska. Odgłosy rozmów z folwarku i z wsi wyraźnie nas dochodziły. Matwij z dwoma towarzyszami, mając swojego psa wypróbowanego, przebiegł drugą stroną ogrodu, okrążył cicho sąsiednią olszynę i w chwili zajmowania naszych stanowisk stanął na jej lewym krańcu.

Deszcz mżył, zasłaniając dalszy horyzont. Zakryty kopicą siana, miałem w odległości trzystu kroków tajemniczą olszynę, a na lewo odemnie o jakie pięćset kroków w krzaku bujnej łoziny rysowała się postać Czesława. Zaledwie mój bliższy teren wzrokiem ogarnąłem, a już pies Matwija zagrał ostro i pewnie, w olszynie zakotłowało się, zatrzeszczały gałęzie i za chwilę, poprzedzony przezpsa wysunął się prosto na mnie na sztych lekkim truchtem łoś, powiększając monstrualne kształty głowy całą kupą gałęzi na rogach zawisłemi.

Miałem w lufie tylko śrutowe naboje, tak mało wiary dawałem opowiadaniom Matwija, — łoś sunie prosto na mnie, jeżeli go przepuszczę w obranym przez niego kierunku, Czesław do strzału nie dojdzie. Wysunąłem się przed kopicę, ukazując się na drodze łosia i z dwóch luf raz po raz, skierowanych w nogi łosia wypaliłem z rozpaczliwą determinacją. Przewidywanie mnie nie zawiodło, łoś łagodnem półkolem na lewo odemnie skręcił ku Czesławowi i nieco już szybszem tempem pocwałował, przecinając linję między nami, nie dalej jak na sto pięćdziesiąt kroków od Czesława. Z zapartym oddechem śledziłem jego sylwetkę, rysującą się w przymgleniu deszczowem, zobaczyłem sztucer skierowany na drogę łosia, który własnie mijał prostopadłą między nami, rozległ się strzał, ale wpierw jeszcze na mgnienie oka zobaczyłem jakby pyłek nad przednią prawą łopatką łosia, to od uderzenia kuli, rozpylony deszcz z sierści odbił się, potężny rogal jakby się pochylił na lewo, ale wwyciągniętym jeszcze kłusie znikł mi za krzakami w chwili, kiedy się rozległ drugi strzał.

Czesław ruszył spokojnie ze swojego stanowiska, idąc tropem łosia, pobiegłem za nim co mi sił starczyło. W odległości pięciuset dwudziestu kroków liczonych łoś leżał nieżywy w pozycji wyciągniętej, przednie nogi naprzód, zadnie wtył wysunięte, potężny łeb, uwieńczony parą wspaniałych szufli, przeplatanych jeszcze kilkoma gałęziami, leżał zwiśnięty na przednich nogach, tocząc z chrap i pyska obfitym strumieniem posokę. Kule obydwie trafiły w przednią prawą łopatkę i na ukos ku przodowi, przeszły jedna prawie szyją, druga, robiąc silny otwór wyjściowy, brzegiem lewej łopatki.

Nadbiegł Matwij z towarzyszami a ich krzyki tryumfu i przechwałek zagłuszały się wzajemnie. Zachowałem spokój zupełny (grając swoją rolę do końca) — powinszowałam pięknych strzałów Czesławowi i z całym tupetem rozpocząłem snuć plany założeń miotów na jutro w knieji, obiecując Czesławowi dalsze trofea i trjumfy.

Czesław pełen zadowolenia tejże nocy jeszcze wyjechał, motywując swój wyjazd terminowymi interesami w Warszawie. Rad gościowi i koledze, uspokoiłem się dopiero, kiedy ucichł turkot kół bryczki, odwożącej pogromcę łosia na kolej. Takie wypadki bowiem nie często się powtarzają i łosie nie przychodzą na zawołanie pod ogrody i podwórza gospodarcze.

Jan Kazimierz Krasicki.



CHWYTANIE LISÓW NA KACZKĘ.

Jednym z najtańszych i najbardziej radykalnych sposobów tępienia lisa jest chwytanie go w doły. Sposób ten przy obecnej drożyźnie broni, żelaz i strychniny, jest najwięcej polecenia godnym.

Chwytanie to przygotowujemy w następujący sposób. Jesienią, albo w czasie odwilży, na polanie lub na skraju lasu w blizkości gęstych zagai, albo oczeretów, kopiemy dół na 6 łokci głęboki i 3 łokci szeroki, w środek dołu wbijamy pal tak. żeby na 10 cali wystawał ponad powierzchnię rowu. Na wierzchu pala przybijamy deskę okrągłą o średnicy 12 cali z powywiercanemi w koło brzega małemi otworami. W środek deski wbijamy skobel, do którego przywiązujemy żywą kaczkę. (Kaczka lepszą, od kaczora, bo więcej chałaśliwa).

Po uskutecznieniu tego nacinamy cienkich elastycznych witek, długich na $1^1/_2$ łokcia. i zatykamy je jednym końcem w porobione otwory w desce, a drugim końcem opieramy na krawędzi dołu.

Całą nakrywkę z witek, przysypujemy lekko nawozem. W koło dołu nasypujemy większą ilość nawozu, żeby zamaskować ślady roboty.

Dobrze jest takich dołów równocześnie wykopać dwa. Wtenczas kaczki, przywiązane, nawołują się, przywiabiając lisa, który skrada się, by potem jednym susem dosięgnąć zdobyczy i, mając za mało oparcia na palu, wpada w dół, z którego z powodu zmarzłej ziemi nie może się wydostać.

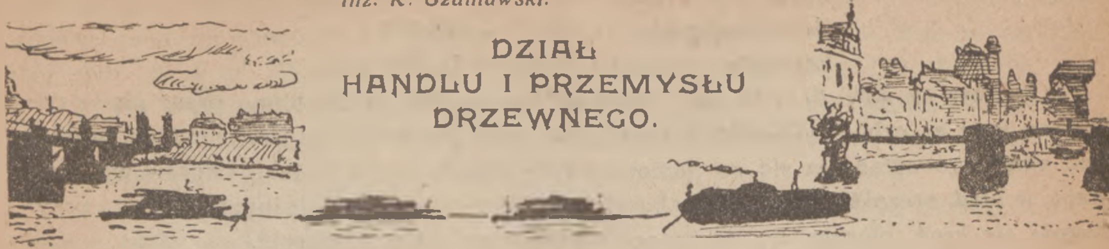
Doły takie muszą być każdego rana rewidowane. Na trzydzieści wypadków schwytania lisa, jeden tylko ugryzł łeb kaczce.

Sposób ten, wielokrotnie przezemnie stosowany, okazał się nader praktycznym.

Miałem wypadki, że jednego ranka trzech rudych złodziei wyciągnąłem za kitę.

A. Ł.

Inż. R. Szaniawski.



NASZE RYNKI DRZEWNE.

Polska.

Położenie na rynku drzewnym prawie, że nic się zmieniło od poprzedniego mojego sprawozdania.[1]) Stała obawa przed zbyt nagłą zwyżką kursu marki polskiej i oczekiwanie konjunktury zniżkowej wpływają na zwiększanie się depresji na rynku drzewnym. To też po większej części poprzestawano jedynie na zapytaniach, które ostatnio przybierały dosyć intensywny charakter. Tylko b. poważne firmy, dysponujące większymi kapitałami, dążąc do przetrzymania kryzysu, mogą pozwolić sobie na wstrzymanie się od zbywania drzewa po cenach nizkich. Natomiast słabsi finansowo kupcy drzewni, potrzebując gotówki, muszą iść za głosem chwili, spieniężając materjały drzewne po cenach zdeprecjowanych, jakie ukształtowały się dzisiaj na rynku drzewnym. To też ceny drzewa w ostatnich tygodniach powoli, lecz stale spadają. I niema żadnych podstaw na suponowanie ewentualnej zwyżki cen drzewa, chyba, że zajdą jakieś nieoczekiwane zmiany w konjunkturze, których jednak nie przewidujemy.

W ostatnim tygodniu całą prasę codzienną w Warszawie obiegła wzmianka[2]) dotycząca cen drzewa w grudniu r. b. Ceny drzewa, podane w tej wzmiance niczem się nie różnią od cen, płaconych za drzewo na początku listopada, kiedy ceny drzewa doszły do swego punktu kulminacyjnego. Możliwem jest, że gdzieś żądano za 1 m^3. desek sosnowych 18 tysięcy mk., ale tylko żądano, gdyż napewno nikt sumy tej za większe transporty nie zapłacił. Znam wypadek taki że posiadacz około 1000 $m.^3$ desek sosnowych, obrzynanych od dłuższego czasu próżno szuka kupca na nie po cenie 15000 mk. za jeden metr kub. franco wagon stacja na linji Łuków-Międzyrzec. Wynika z tego, że o ustaleniu cen decyduje nie tyle żądanie sprzedawcy, ile propozycja nabywców, gdyż żądać można bajońskie ceny. To też w ostatnich dniach sygnalizowana przez nas depresja na rynku drzewnym o tyle się poprawiła, że ożywił się popyt na te materjały, które oferowano po niewysokich cenach.

I tak za $metr^3$ sosnowych desek franco wagon stacja nadawcza płacono 12—13000 mk., a nawet miejscami kupowano po 11000 mk. cena podażowa waha się około 15000-16000 marek. Niedawno jedna z Dyrekcji Odbudowy Kraju nabyła większe ilości materjału drzewnego sosnowego franco wagon stacja w b. Kongresówce po następujących cenach za 1 $m.^3$

[1]) Vide „Przegląd Leśny“ Nr. 20.

[2]) Zaispirowana przez Stowarzyszenie Kupców Polskich w Warszawie.

deski budowlane, obrzyn. — 12,000 mk.,
deski stolarskie — 14,000 „ ,
kantówka ciosana i tarta — 13,000 „ .

Fakty te dowodzą, że ceny horendalnie wysokie, roztrąbione przez pisma codzienne urbi et orbi—były albo przesadzone, albo pochodziły z dezorjentacji, względnie smętnego oglądania się za minionym okresem hausse'y, a jako fikcyjne wprowadzają w błąd szerokie sfery naszych przemysłowców i kupców leśnych. Tak oto przysługuje się ktoś, biorący się do rzeczy nieznanych sobie dokładnie.

Poszukiwano kloce osikowe zapałczane. Żądano za 1 m^3 6000 do 7000 mk., płacono do 6000 mk. Za kopę dobrych gontów sosnowych żądano 600—700 marek. Stemple kopalniane w zapotrzebowaniu. W tych dniach ma się odbyć na Pomorzu submisja na kopalniach w ogólnej ilości ok. 200,000 m^3. Kopalniaki te pochodzą z lasów rządowych i miejskich. Wobec dużego zapotrzebowania kopalniaków przez nasze zagłębia węglowe, dochodzącego do 1,500,000 m^3, oczekują przelicytowania się kontrahentów w cenach. Na rynku krajowym cena 1 m^3 kopalniaków franco wagon stacja nadawcza dochodzi do 5000 mk.

Na ostatnich submisjach w Poznańskiem płacono za 1 m^3 kopalniaków loco las do 3200 mk. Wobec tych cen eksport kopalniaków na Górny Śląsk stanął na martwym punkcie, gdyż niemieckie konsorcjum t. zw. Vereinigte Grabenholz. Importeure upierają się przy starej cenie 225 mk. za 1 m^3 kopalniaków franco stacja graniczna. Przy takich cenach i wysokich wymaganiach rynku niemieckiego (długość do 7 m.) do czasu dostosowania cen do słusznych wymagań naszych eksporterów, kupcy niemieccy mogą sobie sprowadzać stemple kopalniane z vaterlandu, który od 10 lat uczuwa prawdziwy głód drzewa kopalnianego. Po zaspokojeniu potrzeb naszych kopalni, skierujemy nadmiar naszych kopalniaków do Anglji przez Gdańsk. W Anglji po zlikwidowaniu strajku węglowego latem r. b. kopalnie dochodzą do zwykłej wydajności, a zapotrzebowanie stempli rośnie intensywnie. Ceny płacone za kopalniaki w Anglji podaję poniżej w sprawozdaniu z Gdańska.

Ostatnio uwydatniło się duże zapotrzebowanie zagranicy na drzewo dębowe w blokach długości od 2,5 m. wzwyż i średnicy 45 cm minimum na forniery. Za bloki pierwszorzędnej jakości można uzyskac 25—30 tysięcy Mk. za 1 m^3 franco stacja pograniczna lub f. o. b. Gdańsk. Jako curiosum podaję fakt, że pewna firma drzewna zażądała od spółki drzewnej Novy Icin na Morawach aż 60,000 Mk. za 1 m^3 bloków fornierowyeh franco stacja Dziedzice.

Kupcy zagraniczni — po chwilowej przerwie — znów zaczynają dobijać się o podkłady kolejowe dębowe i sosnowe na dosyć korzystnych warunkach, gdyż niektóre firmy zagraniczne skłonne są do udzielania większych zaliczek. Wobec tego jednak, że za podkłady również ze strony zagranicy, zwłaszcza Belgji i Francji biorą się w pewnej odsetce elementy niepowołane, więc radzimy naszym eksporterom przystępować do tranzakcji z zachowaniem wszelkich środków ostrożności.

Co do innych objektów drzewnych, których ceny zależą jedynie od zapotrzebowania, to przy niedużych obrotach — większych uchyleń od ostatniego sprawozdanie w numerze tym nie notujemy.

Gdańsk.

Tartaki w Gdańsku, tudzież w Prusach Wschodnich intensywnie zakupują drzewo dla kampanji 1922 r. w lasach Poznańskiego i Pomorza. Za okrąglaki sosno-

we I i II klasy w zależności od objętości drzewa (masy kubicznej) płacono loco Gdańsk 500—600 Mk niem. Za okrąglaki dębowe tartaczne płacono do 1200 mk. niem. Żądano za deski sosnowe, ostrokątnie obrzynane, odziemkowe (Ia Waare) do 1500 mk, niem. za 1 m^3. Za zwykłe budowlane deski sosnowe płacono 750—800 mk.

Na eksport do Anglji płacono za kopalniaki f. o. b. Gdańsk 23—24 szylingów za 1 m^3. Za deski sosnowe prima wymiarów angielskich bez oflisu płacono za standart 13,5 do 14 Ł. (funt ang) f. o. b. Gdańsk.

Za podkłady dębowe szeroko-torowe, eksportowe płacono za sztukę f. o. b. Gdańsk 14,25 do 15 franków.

Ujawnia się duże zainteresowanie eksporterów słupami telegraficznemi chociaż wskutek małej podaży — ostatnio większych tranzakcji nie czyniono. Za 1 m^3 dobrych słupów telegraficznych dawano f. o. b. Gdańsk do 650 mk. niem. Interesowano się również bardzo klepką dębową bednarską długości 50—100 cm., chociaż obrotów ostatnio nie notowano.

Oto jak mniej więcej wyglądał polsko-gdański rynek drzewny w dobie przesilania się depresji ekonomicznej — w okresie przedświątecznym[1]).

R. Sz.

NIEBEZPIECZNE TRANZAKCJE.

Eksporterzy nasi bardzo chętnie przyjmowali zapłatę za drzewo, sprzedawane na wywóz, w walucie obcej. Zarówno na żądanie zagranicznych odbiorców, jak i z własnej inicjatywy — kalkulowano w markach niemieckich, funtach, frankach etc. Tak też były zawierane — prawie pod regułę — tranzakcje na materjały eksportowe. Markę polską zepchnięto do roli kopciuszka. Ona sama zresztą coraz bardziej usuwała się w cień na rynku walutowym, dając się zdystansować nawet koronie austrjackiej. Kupiec, widząc ustawiczny spadek pieniądza krajowego, nie mógł i nie chciał go uważać za miernik wartości towaru. Wiedział bowiem, że towar i przywiązany do niego ekwiwalent w markach polskich to dwie różne rzeczy, z których jedna idzie w górę z taką sama chyżością, z jaką druga spada na dół. Kupiec, ten również przekonywał się na każdym kroku, że ustalenie ceny sprzedażnej, choćby na krótką metę, wobec ciągłej zwyżkowej tendencji towaru, odbija się fatalnie na kieszeni sprzedawcy, w każdym zaś razie zmniejsza jego korzyści z dokonanych interesów w stosunku wzrostu ceny za dany objekt. Z drugiej strony, w związku z bezprzykładną hausse'ą walutową, nęciły eksportera widoki wspaniałych i łatwych zysków, obliczonych na grę na kursie walut. Tranzakcje, zawierane w takich warunkach uchodziły za złote jabłko. Nawet wyśrubowane ceny drzewa na tutejszym rynku wyglądały mizernie w porównaniu z cyframi. osiąganemi z tych operacji. W ten sposób np, za 1 m^3 stempli uzyskiwano na Górnym Śląsku z górą 10 tysięcy marek pol. a za 1 podkład dębowy w Gdańsku więcej, niż 5000 marek pol. Również dla kupczagranicznego dogodniej było prowadzić rachunki w walucie, która niepodlegała żada

[1]) Gdańsk, związany z macierzą swoją, Polską, traktatami handlowymi, ma znaczenie jedynie dla naszego rynku drzewnego, jako od niego nierozerwalnie uzależniony, wobec czego w sprawozdaniach handlowych będziemy łączyli rynek gdański z ogólnym rynkiem drzewnym Polski. (Przyp. red.).

nym lub bardzo minimalnym wahaniom, pozwalała kalkulować ceny fixe, aniżeli czynić kalkulację zależną od zmiennego kursy marki polskiej. Stan ten trwał długo. Marka polska bodaj zupełnie straciła znaczenie, jako środek płatniczy, w handlu drzewnym z zagranicą. Aż wreszcie przyszedł krach walutowy. Jeszcze w zeszłym miesiącu byliśmy świadkami karkołomnego spadku walut zagranicznych na naszej giełdzie. Pocieszający ten skądinąd objaw stał się młotem, druzgocącym rachuby finansowe licznych eksporterów drzewa. Ci ostatni, związani umowami, zastrzegającemi płatność rachunków gotówką zagraniczną, musieli brać pieniądz, który w przeliczeniu na marki malał — bez przesady — z godziny na godzinę, przynajmniej w najgorętszym okresie baisse'y. W dodatku na rynku drzewnym panowała depresja. Spodziewane bajońskie sumy zysków spadły do zera, a nawet tu i ówdzie, przy materjale, pochodzącym z odprzedaży, zamieniły się w straty, gdyż odprzedawca wycofywał mniej, niż włożył w towar, mimo, że umówione ceny nie uległy zmianie. W obecnej chwili wytworzyła się taka sytuacja, że eksport niektórych materjałów drzewnych, jak kopalniaki, maszty, okrąglaki, po cenach notowanych na rynku zewnętrznym, zupełnie się nie opłaca, te same bowiem artykuły lepiej sprzedać można na miejscu. Sprzedaż towaru za obcą walutę, płatną zazwyczaj w różnych terminach, jak widzimy, jest nader niebezpieczna dla dostawcy, gdyż powodzenie interesu zawisło tutaj od „momentu walutowego" na giełdzie. Eksperyment taki toruje drogę hegemonji obcego pieniądza w naszych stosunkach ekonomicznych i utrwala zagranicą przekonanie o niemocy płatniczej marki polskiej. Wogóle uprawnienie niejako zagranicznej waluty do odgrywania miernika płatniczego w handlu zewnętrzynym, jest wielce szkodliwe dla kraju, który, jak nasz, ma za zadanie uzdrowić swój chory pieniądz i zapewnić mu prawo obywatelstwa w międzynarodowym układzie monetarnym.

Rom. Słowikowski.

Zwyżka cen drzewa na giełdzie w Wiedniu[1]).

Wskutek dużej baisse'y korony austrjackiej. ceny materjałów drzewnych podskoczyły minimum o 100% w stosunku do ostatnio sygnalizowanych przez nas cen[2]). W pierwszych dniach grudnia płacono na giełdzie wiedeńskiej następujące ceny:

Deski świerkowe i jodłowe 13 mm., szerokości od 10 cm w górę po 13000 koron franco wagon dolna Austrja; deski 18—20 mm, szerokości od 18 cm w górę 16000 koron loco Wiedeń, budulec zwykły koron 12000 loco Wiedeń.

Opał. Szczapy bukowe, twarde i suche 75,000—80,000 koron za wagon 10,000 kg. stacja w Dolnej Austrji.

Żądano kloców świerkowych, jodłowych i sosnowych w cenie do 4000 mk. loco Wiedeń, podaż nieduża.

Za twardy węgiel drzewny płacono 18 - 19 koron za kg. stacja w Styrji.

Wobec stałej zniżki korony austrjackiej, zaobserwować tam można powszechny u nas w swoim czasie fakt. Oto szereg kapitalistów, salwując koronę swoją przed zbyt wielką dewaluacją, lokuje gotówkę w materjałach drzewnych. W wyniku widzimy na rynku intenzywne wykupywanie materjałów drzewnych, a z drugiej strony stale zmniejsza się podaż towaru i przelicytowanie się w cenach. To też posiadacze materjałów drzewnych ujawniają tendencję zwyżkową, nie chętnie wyzbywając się towaru.

Sz.

---

1) Informacje własne.
2) Vide Nr. 20 „Przeglądu Leśnego".

„Przemysł i eksport leśny“. (Spółka akcyjna).

Przy końcu 1920 r. powstała u nas spółka akcyjna, „Przamysł i eksport leśny“ z siedzibą w Warszawie, Piękna 13.

Pomimo stosunkowo niedługiego okresu istnienia — spółka ta, posiadając własne tereny leśne eksploatacyjne i zakłady przemysłowe, zasila wybitnie drzewem i produktami drzewnymi rynek wewnętrzny. Również w eksporcie drzewa zagranicę spółka „Przemysł i eksport leśny“ zdobyła sobia jedno z czołowych miejsc.

Rozwój swój zawdzięcza spółka akcyjna „Przemysł i eksport leśny“ zarządowi, w skład którego wchodzą znane w kołach przemysłowych jednostki. Prezesem zarządu jest p. Henryk Kolberg. Wiceprezesem jest znay finansista p. Wojciech Sima. Dyrektorem techniczno-handlowym jest prof. Jan Jabłoński, wybitny handlowiec, a stanowisko prokurenta spółki zajmuje p. Jan Gąssowski, nestor tatarcznictwa i przemysłu drzewnego w Polsce. *Sz.*

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

Ż y w i c o w a n i e n a s z e j s o s n y p o s p o l i t e j (pinys silvestris) Inż. Stanisław Wyrwiński. Poznań—Warszawa. Księgarnia św. Wojciecha 1921 r. Str. 76.

Autor dał w tem dziełku wszystko to, co w skróceniu można w dobie dzisiejszej powiedzieć o żywicowaniu sosny. Więc poprzedza dziełko krótki ustęp historyczny, zawierający wiele ciekawych szczegółów, oraz opis poczynań w dziale żywicowania w Polsce za czasów przedwojennych i dokładny stan tej akcji w okresie wojny i okupacji. Pozatem we wstępie autor zastanawia się nad takiemi pytaniami jak: „czy sosna pospolita nadaje się w naszym klimacie do żywicowania“, „czy użytkowanie się opłaca“, „czy drzewo cierpi od żywicowania“ — oraz wymienia wszystkie te dziedziny przemysłu fabrycznego, gdzie przetwory żywiczne są niezbędne, a mianowicie: papiernictwo, mydlarstwo, wyroby farmaceutyczne, fabrykacja smarów, fabrykacja czernideł, fabrykacja farb i lakierów, piwowarstwo, wyrób amunicji i materji wybuchowych. We wstępie też przytacza szereg cyfr udowodniających możliwą wysokość produkcji żywicy w Polsce i przychodzi do przekonania, że dochód z żywicy dałby krajowi 400 mil. marek czystego zysku.

W dalszym ciągu dziełko szczegółowo traktuje o własnościach fizycznych i chemicznych różnych przetworów żywicznych, daje anatomiczny rozbiór tych części drzewa, gdzie się gromadzą komórki i przewody żywiczne, oraz omawia sprawę wydajności żywicy w związku z metodami żywicowania.

Rozdział III. dziełka zawiera opis poszczególnych sposobów żywicowania, a więc metody: francuską, austrjacką, amerykańską starą, niemiecką starą (albo badeńską), rosyjską, portugalską, amerykańską nową, metodę Gitnera, Kubelki. W IV. rozdziale autor zastanawia się nad pytaniem czy, żywicowanie wpływa i w jakim stopniu na obniżenie siły wegetacyjnej drzew i technicznej wartości drzewa i przychodzi do przekonania, że jakkolwiek przyrost roczny przy żywicowaniu zmniejsza się o parę procent (3%), to jednakie drzewo zyskuje na trwałości i twardości.

Opisem żywicowania sosny systemem wielkopolskim, orez organizacją robót przy żywicowaniu zajmują się rozdziały IV i V dziełka. W końcu książki znajdują się zestawienia wyników żywicowania w państwowem nadleśnictwie Mosna, oraz szereg rysunków objaśniających różne sposoby żywicowania.

Dziełko napisane źródłowo, jasno i w zestawieniu z dotychczasowym stanem przemysłu żywicznego wyczerpująco, a przytem owiane szlachetną tendencją przysporzenia rodzimemu leśnictwu i krajowi jeszcze jednej, a dotąd niewyzyskanej gałęzi przemysłu.

Dlatego też książkę inż Wyrwińskiego polecamy gorąco, jak kolegom-leśnikom, tak też i tym wszystkim, co się interesują naszym przemysłem leśnym. *Z.*

VARIA.

Mniszka sosnowa. Poselstwo Republiki Czeskosłowackiej prosi nas o poinformowanie czy w lasach na terytorjum Rzeczypospolitej Polskiej pojawiła się mniszka sosnowa (ocneria monacha).

Wiadomość ta jest potrzebna dla pewnego konsorcjum, wyrabiającego patentowany przyrząd do łapania tego motyla, a dla nas dla celów statystycznych.

Wobec tego upraszamy szerokie koła naszych czytelników, zainteresowanych klęską mniszki o rychłe nadesłanie pod adresem naszej redakcji wyczerpujących informacji.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

W-ny Walery Borek w Korytkowie. Możemy panu polecić podręcznik p. t. Przemysł tartaczny inżynierów Żerebeckiego i Kisiela, wydanie 1921 r. dostać można u Gebethnera i Wolfa. Tablice wysyłamy. Listu porzedniego nie otrzymaliśmy.

W-ny. M. Trzecieski w Kozianymbrodzie. Artykuł, zamieściliśmy wykreśliwszy parę ustępów, które słusznie lub nie słusznie mogłyby kogoś dotknąć,

W-Pani I. Ładowska. 900 marek od W-Pani otrzymaliśmy niestety bez informacji za czyją prenumeratę W-Pani płaci. Prosimy o wiadomość, na czyj rachunek mamy te pieniądze zapisać; jeżeli na rahunek W-Pani, to w takim razie prosimy o Jej adres. W ostatniej chwili otrzymaliśmy jeszcze od W-Pani 4000 marek. Upraszamy o informacje i adres.

TREŚĆ NUMERU:

Adres Redakcji i Administracji: Nowogrodzka 40 m. 2, tel. 90-90.
Godz. 4—7 popoł. — Redaktor przyjmuje od 6—7 popoł.

Redaktor: TADEUSZ ŁUCZYCKI. Wydawcy: KONSTANTY HUBERT HR. ZAMOYSKI i JÓZEF GALEWSKI.

Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3. Tel. 44-59.